



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Tadeusz Kaźmierczuk

## Sześć lat rozłąki

Marszałek Józef Piłsudski powziął decyzję w 1920 roku, aby swych żołnierzy zasłużonych w bojach odchodzących do rezerwy wynagrodzić rozparcelowanymi majątkami ziemskimi leżącymi odłogami przy granicy wschodniej.

Mój ojciec jako 17-letni chłopiec na ochotnika wstąpił do tajnej organizacji – POW. W okolicach Warszawy rozbrajał Niemców zdobywając broń. Potem walczył na froncie ukraińskim koło Żułkwi był ranny przetrzała biodra. Ze szpitala z niezabliźnioną jeszcze raną na własne życzenie wyruszył dalej na front w obronie Warszawy. Za Niemcem powtórnie został ranny (uratował go karabin – odłamek pocisku wielkiego kalibru ugodził w kolbę przełamując ją, dwa żebra wbiły się w płuca, wyrwijąc to żelazo podciął ścięgna na prawej dłoni). Piętnastu młodych żołnierzy POW-iaków otrzymało działki 16-hektarowe w Małym Olżewie. Drzewo na budowę domów i budynki inwentarskie otrzymali za darmo. Każdy na swej działce budował budynki pomagając sobie wzajemnie. Żyli jak jedna wielka rodzina.

Latem 1924 roku odbyła się wielka uroczystość. Marszałek Piłsudski odwiedził naszą osadę. Pamiętam dokładnie to zdjęcie. Pod rozłożystym drzewem dużej jabłoni siedział Komendant na krześle, w zwykłym polowym mundurze bez dystynkcji, w czapce maciejówce otoczony półkolem swoimi chłopcami; kilku siedziało na ziemi przed Komendantem. Twarze ich były mizerne, lecz uśmiechnięte. Młode żony przygotowały wspaniałe przyjęcie, jak nam opowiadano.

Ojciec to zdjęcie spalił w wagonie podczas deportacji – obawiał się ścisłej rewizji, wiadomo co by było gdyby rozpoznali. Ja urodziłem się w 1928 roku. Do szkoły chodziłem w Biłohrudzie. W szkole było ognisko „Orląt”, do którego należałem. Komendantem Orląt był nauczyciel Wydrzycki Jerzy (ojciec Czesława Niemena). Uczył nas obchodzenia się z bronią oraz udzieleniem pomocy potrzebującym. Ta nauka naprawdę w moim życiu się przydała. Życie płynęło wesoło, dostatnio i przyjemnie. Osadnicy świetnie gospodarzyli, maszyny rolnicze, takie jak żniwiarki, kosiarki, młocarnie, nawozy sztuczne były już w użytku. Organizowano wystawy rolnicze zwierząt hodowlanych, płodów rolnych oraz imprezy kulturalne, które potrzebne były na kresach wschodnich.

W dniu 19 września spokojne, przyjemne życie prysło jak bańka mydlana. Jak szarańcza w czapkach czubatych z dużą czerwoną gwiazdą z sierpem i młotem wkroczyli bolszewicy niosąc ze sobą śmierć i głód.

## 10 lutego 1940 roku

W dniu 7 lutego zachorowała nam Mamusia i ojciec odwiózł ją do szpitala w Lidzie. W dniu 8 lutego miała operację (ropne zapalenie wyrostka) W niedzielę wszyscy mieliśmy zamiar ją odwiedzić w szpitalu. I tragedia – z piątku na sobotę o godzinie 2-ej łomot w drzwi. „Otwieraj!”. Łomot był tak uporczywy, że Ojciec kazał mojej siostrze otworzyć drzwi. Wpadli do mieszkania z bagnietami do przodu, zagnali nas wszystkich w jeden kąt w bieliźnie. Drzwi pootwierane, a mróz –35 stopni.

Mojemu młodszemu o 2 lata bratu każą się ubrać, robią rewizję wszystko przewracają. W mieszkaniu brata wzięli na strych i dopytywali, gdzie ojciec ma broń.

Po rewizji piszą protokół, który odczytują na końcu. Rozkaz: za dwie godziny mamy być na saniach, które stoją przed progiem. Ojciec pyta co ma wziąć ze sobą. Piłę i topór – odpowiedziano. Ponieważ Matka była w szpitalu, nie mieliśmy upieczonych chleba. Ojciec ubłagał enkawudziście, aby siostra poszła do sąsiada po chleb. Lecz okazało się, że sąsiada Wołowickiego też zabierają. O świcie byliśmy już w Białohrudzie na punkcie zbiorczym. W wagonach towarowych okienko zakratowane, po 40 osób w jednym wagonie, podwójne prycze, pośrodku mały żeliwny piecyk, w podłodze mała dziurka do załatwiania się, która to potem zamarażała. Gdy transport ruszał z Białohrudy słychać było w całym transporcie śpiew „Serdeczna Matko” i okropny lament. Na postoju w Lidzie Ojciec poprzez kratę ujrzał kolejarza w polskim płaszczu, więc wyrzucił karteczkę od ubrania Mamy, którą jak się potem okazało doręczył, i z tym tylko Matka została.

Rodzeństwo moje to trzy siostry: Kamila urodzona w 1922 roku, Anna w 1924 roku, Leokadia w 1926 roku, ja – rocznik 1928. i brat Zbigniew 1930. Ojciec inwalida wojenny 1898.

Podróż okropna, brak wody, zimno. Czasami pod konwojem wypuszczono dwóch ludzi z wiadrami po wodę i supę. Pamiętam, że raz w szczerym stepie wypuścili wszystkich przewietrzyć się. Wyglądało to strasznie, Transport był bardzo długi, miał dwie lokomotywy, jedna z przodu druga pośrodku, co kilka wagonów strażnicy z karabinami w stróżówkach. Przez 40 dni byliśmy zaryglowani w wagonach. Wewnątrz wagon podobny był do zamrażalni – ściany wagonu oblepione były kilkucentymetrową warstwą lodu z powodu parowania oraz bardzo niskiej temperatury na zewnątrz. Śpiąc ludzie dosłownie przymarzali do ścian. W dniu 20 marca byliśmy na końcowej stacji kolejowej w „Asino”. Tam kazano nam pakować się na sanie, a dalej pod konwojem wieziono nas w głąb tajgi. W wiosce Bałgaczewo dano nam po kubku gorącej, wody zmieniono konie i tak wieziono nas 3 dni i nocę w głąb dzikich lasów, tak że 23 marca byliśmy na miejscu przeznaczenia co najmniej 150 kilometrów od Asina.

Baraki Trekawo na prawym brzegu rzeki Czaczkajuł na jarze. Las obok baraków spalony, sterczą tylko osmalane kikuty drzew. Rok lub dwa lata wcześniej był tam pożar i na tym wzgórzu nie było ziemi uprawnej ani roślin żadnych,. Z których to człowiek mógłby wybrać coś do zjedzenia.

Stały tam cztery baraki w trzech osiedlano zesłańców w czwartym nad rzeką mieszkał enkawudzista Dzubia Wasyl, leśniczy ruski Charłam oraz Rosjanka, która rano wydawała nam chleb na listę. Pracujący otrzymywali 600 gramów chleba oraz dwa razy dziennie supę bardzo rzadką okraszoną lekko olejem roślinnym. Taki przydział przysługiwał tym, którzy wypracowali normę dzienną. Im mniej normy wypracował, tym mniej otrzymywał chleba. O ile nie poszedł do pracy („pieregul”) nie otrzymał nic. Robota była bardzo ciężka, ręczne piłowanie drzew z pnia w dwumetrowej warstwie śniegu, a pień trzeba było upiłować nisko. Natomiast dzieci i starcy otrzymywali tylko 200 gramów chleba – absolutnie nic więcej.

Żadnego sklepu by coś kupić nie było. Chleb dowożono codziennie łódką z wioski „Francuskoje” oddalonej od baraków około 10 kilometrów. Tam nie wolno nam było chodzić, no i przegradzała rzeka szerokości około 100 m. W tej wsi więc nigdy nie byłem. Przebyłem ostre zapalenie obustronne płuc bez żadnej pomocy lekarskiej i bez leków. Byłem bliski śmierci. Mieliśmy jedynie termometr, gorączka sięgała do 42 stopni.

Ojciec przyszedł z pracy zmęczony i położył się obok mnie z gromnicą w rękę. Wsłuchiwał się w tętno bicia mego serca, martwił się tym, w jaki sposób wykopie mi grób, ponieważ tajga była skuta mrozem oraz zawiata dwumetrową warstwą śniegu.

Raptnie drgnąłem, usiadłem na pryczy i powiedziałem Ojcu, że chcę coś zjeść. Był to właśnie przełom choroby. Warunki w barakach okropne, piętrowe prycze, sąsiad obok sąsiada, a swoją majątność trzymano pod pryczą. Na środku stał duży żeliwny piec, który służył do ugotowania jakiejś tam stawy z uzbieranego zielska. Gazety ani radia nie było. Życie było beznadziejne. Okropnie dokuczały pluskwy. Było ich bardzo dużo. Miały ku temu dobre warunki, bo baraki były budowane z okrągłych kłoców przekładanych mchem.

Nadeszła wiosna. Na jagody czarne i grzyby trzeba było chodzić na następne nie wypalone wzgórze przez bagna, bez drogi po zaciosach (jest to drzewo zaciosane siekierą z trzech stron następne drzewo zaciosane odwrotnie ażeby było dobrze widoczne z każdej strony i tak po tych zaciosach chodziło się pewnie, że człowiek nie zbłądzi.

Pojawiła się plaga meszki i komarów, kto miał z czego to szył siatki ochronne – jak od pszczoł. Zaczęły się choroby: malaria, cynga – gnicie dziąseł, wrzody krecie i kurza ślepotą – o zmroku trzeba było chodzić po omacku.

Żadnych dróg w lesie ani przesiek nie było, często ludzie błądzili. Matka księdza (nazwiska nie pamiętam) nie została odnaleziona. W następnym roku znaleźliśmy jej czerwoną chustkę. Wiosną umiera pierwszy osadnik, Jastrzębski. Zostawia żonę i kilkoro dzieci, pochowaliśmy go na wzgórku wypalonego lasu 300 metrów na wschód od baraków. Latem przewieziono nam, dzieciom oraz starcom otręby pszenne – po parę kilo na osobę. Mąki w nich wcale nie było, były one zbrylone, przylepione do worków, spleśniałe. Nie nadawały się do jedzenia, ugotowane z czarnymi jagodami po zjedzeniu spowodowały zatrucie. Choroba dotknęła mnie więc po raz drugi. Leżałem obrzęknięty i wycieńczony. Ojca i dwie siostry enkawudzista wysłał na sianokosy. Oceniał go widocznie, że jest pracowity i gospodarny. Pracowali około 40 kilometrów w górę rzeki. Ojciec pracował jako majster do klepania kos oraz naprawiania narzędzi do zbioru siana, siostry kosiły trawę (norma dzienna 39 arów). Mieszkali tam w szałasach z kory brzoźowej. Polaków tam więcej nie było. Pracowali natomiast Rosjanie. Po drugiej stronie rzeki był Kołchoz najdalej chyba wciśnięty w Tajgę o nazwie „Zimowskoje”. Ojciec mając dużo czasu w dzień, bo pracował rano, wieczorem przeprowił się jakoś przez rzekę i zapoznał się z kołchoźnikami od ich dowiedział się, że mieszka tam Polka, która kiedyś wyszła za mąż za Rosjanina. Pokazała Ojcu książeczkę do nabożeństwa. Ojciec miał sporo pieniędzy, więc kupiła mu jakoś parę worków mąki oraz barana na zarżnięcie, no i sól. W ten sposób pomogła nam przetrwać największy kryzys.

Siostra Lodzia widząc, że jestem bardzo chory poszła z bratem szukać Ojca. Szli brzegiem rzeki i gdzieś w połowie drogi napotkali mały domek. Mieszkał tam stary rybak Sybirak z żoną. Zabronił im dalej iść, gdyż obawiał się że zabłądzą. Kazał im przenocować, dał im dwa duże ziemniaki – jeden na kolację, drugi na śniadanie i szklankę mleka. I przyobiecał, że Ojca zawiadomi sam. Gdy Ojciec otrzymał wiadomość, że dzieci go szukały, natychmiast wysłał na pomoc siostrę Anię. Mnie zabrali na sianokosy do Ojca i tam powróciłem do zdrowia. Lodzia i Zbyszek zostali w baraku.

## Sąd Wilkiewicza

Syn Osadnika zesłany z matką i dwiema siostrami był zdrowy, silnym mężczyzną. Przy wydawaniu chleba dokonał samowoli. Zważył cały bochenek chleba zapłacił za niego. Za to został skazany na pokazowym procesie na 8 miesięcy więzienia. Żegnaliśmy go wszyscy myśląc, że już do nas nie wróci. Zabrali go do Tomsku. Tam więźniowie kopali wykopy pod fabryki zbrojeń. Pracę, którą wykonywali we trzech, on robił sam. Był tam Stachanowcem. Otrzymał potrójną porcję żywnościową. Po odbyciu kary wrócił do nas w pełni sił. Enkawudzista powiedział, że wrócił tylko do matki i siostr, bo tu jest tiumra, a tam można żyć. Raz w tygodniu enkawudzista dokonuje przeglądu wszystkim wywołuje z baraków wyczytuje nazwiska – umarli zostaje skreślony z listy.

## Cmentarz powiększa się...

Nadeszła zima 1941 roku. Ubranie było już dość wyniszczone, jeszcze gorzej wyglądało obuwie. Było porwane i zbyt małe. Miałem buty, w których rozpruwałem zatylniki i naszywałem łąty, aby mogła mieścić się noga. Mróz dochodził do –50 stopni C. Leżało 2,5 metra śniegu, nie było gdzie nabyć ubrania i obuwia odpowiedniego do tak silnych mrozów. Ludzie do pracy owijali nogi szmatami, polewali po wierzchu wodą, gdyż jedynie to było skuteczne. Byliśmy zupełnie odizolowani od świata. W marcu poszedłem do pracy – młodzieżowa brygada – na „birżę” tzn. układanie kłoców w tabory na lodzie. Był to urwisty brzeg nad rzeką wysoki na 3-4 metry. Wałkowało się tam kłocze za pomocą pokatów i ściżków. Tabory były równe z brzegiem. W kwietniu uległem wypadkowi. Pod ciężarem taboru raptownie załamał się lód.

Mnie i kolegę Berdowskiego zastało to gdzieś na środku rzeki. Pamiętam tylko, że utworzyły się wielkie szczeliny na taborze, Nie pamiętam jak mnie przygniotło. Jakimś cudem znalazłem się na wierzchu. Idąc ku brzegowi napotkałem Stefana Berdowskiego leżącego na wznak twarzą w dół. Jeden kłoc leżał mu na karku, drugi na nogach. Natychmiast zawołałem kolegów uciekających do baraków, bo się mocno wystraszyli, aby ratować kolegę. Zdjęliśmy kłoc z karku i z nóg i położyliśmy Stefana na wznak. Nie wykazywał oznak życia. Właśnie tu przydało mi się szkolenie pana Wydrzyckiego. Zastosowałem sztuczne oddychanie i po dość długim czasie chwycił raz powietrze, potem coraz częściej i zaczął jęczeć. Miał złamaną nogę, zaduszony kłocem, który leżał mu na karku. Kazałem jednemu z chłopców poleć go po twarzy wodą czapką, która obok nas leżała, bo któryś zgubił. Ja natomiast poczułem się

bardzo źle. Zrobiło mi się gorąco i poczułem ogromny ból w krzyżu. Myślałem, że ranę mam otwartą, lecz krwi nie namacałem. Upadłem na ziemię bezwład nóg.

Na małych saneczkach zawieziono mnie do baraku. Kuracja odbyła się bez żadnej pomocy lekarskiej. Leżałem bezwładnie na pryczy. Opiekował się mną brat Zbyszek. Trwało to ponad półtora miesiąca. Od nowa uczyłem się chodzić.

Nadeszła wiosna. Wygasła w nas nadzieja, że Anglia i Ameryka wyzwolą nas z niewoli. Życie było beznadziejne. Aż wreszcie nadszedł 22 czerwca 1941 roku. Ten dzień uznaliśmy za dzień cudu. Nikt się nie spodziewał, że błysnie nadzieja wolności. Dwaj najwięksi wrogowie Polski toczyli ze sobą wojnę.

W barakach nastąpiła duża zmiana. Diuba enkawudzista poszedł na front. Można było opuszczać baraki i podejmować pracę według swych kwalifikacji. Ojciec mój ukończył szkołę weterynaryjną. Potrzebny był do liczenia koni w Leśnym Przemysle Państwowym w Les. Prom. Chor. Almiakowie.

Almiakowo to miejscowość nad szeroką rzeką Czulym, którą pływały statki. Był tam tartak i stajnia koni roboczych. W tartaku piłowało się brzozy na brusy. Przykładało się szablon i wycinało kolby do karabinów. Statek zabierał ruźbałwanekę i odwoził do Tomska. Ojciec liczył konie, siostry Kamila i Anna piłowały z pnia brzozy. Lodzia pracowała w tartaku, ja pomagałem Ojcu jako sanitariusz weterynaryjny. Klimat nie był sprzyjający dla koni. Powszechnie panowały świerzb i owrzodzenia.

## Zima 1942

Ojciec zarobił w sąsiednim kolchozie trochę ziemniaków, posłał więc brata do baraków „siewiernych” (Północnych). Tam pracowały siostry. Było to 20 kilometrów w głąb Tajgi. Z żywnością było tam bardzo źle i brat szedł, by wspomóc siostry. Do baraków tych dochodziła wąskotorówka, którą wożono drzewo do tartaku. Brat przenocował tam, a rano wracał torowiskiem do Almiakowa. Był bardzo wielki mróz. Gdy wyszedł na wycięta polankę, słońce oświetlało ją, więc usiadł pod drzewem z zamiarem ogrzania się i zasnął. Uratował go Niemiec, z nadwołżańskiej kolonii, który służył w wojsku sowieckim jako niebłagonadiożnyj (niepewny). Do tajgi został zesłany w 1942 roku. Pracował jako maszynista wąskotorówki. Wniósł mego brata do kabiny i z trudem udało mu się przywrócić mu życie. Nazywał się Dawid Dawidowicz.

Gdy wojsko Andersa opuściło ZSRR i ujawniono informacje o Katyniu, sytuacja nasza pogorszyła się. Wszystkich dorosłych wezwano do Siel. Sowietu i kazano podpisać obywatelstwo radzieckie. Otwarto dwoje drzwi. Jedne po paszport, drugie do więzienia. Wstrzymana została pomoc zachodnia, którą kilka razy otrzymaliśmy.

Wiosną 1943 roku. Rosjanka powiedziała, do mego Ojca: „Wasz „parniszka” (chłopiec) Polak umiera w taborach drzew nad rzeką”. Odnaleźliśmy go. Był to syn osadnika ostatni z rodziny Hryszel. Przynieśliśmy go do naszego domu, jednak uratować się go nie udało.

Zachorował prawdopodobnie na tyfus. Wówczas to Wanda Wasilewska nawiązuje kontakt z władzami radzieckimi. Powstaje Związek Patriotów Polskich i Armia Ludowa.

## Pobór do wojska pozostałych mężczyzn i kobiet

Siostry Kamile i Annę zmobilizowano. Kamila podczas ćwiczeń złamała rękę w łokciu i została zwolniona. Wróciła do nas Anna w batalionie kobiecym. Wojsko wyruszając na front poprosiło władze radzieckie, by rodziny przywieźć w lepsze warunki życiowe, co też uczyniono. Przewieźli nas na Kaukaz do Stawropolskiego Kraju. Tam pracowaliśmy w sowchozie „Komunar”. Ojciec był felczerem w fermie krów, siostry doily krowy, ja szewcowałem, brat pracował przy cielętach.

## Rok 1944

Batalion Kobiecy stacjonował w Warszawie na Pradze. Siostra Anna nawiązała korespondencję z Mamą. Dowiedziała się, że będzie repatriowana na Ziemię Odzyskane. Siostra w stopniu starszego sierżanta codziennie odwiedza stację kolejową oczekując transportu z Lidy, którym miała jechać Matka. Pewnego dnia idąc wzdłuż torów transportu zobaczyła kobietę siedzącą przy drzwiach nie rozpoznali się od razu, lecz dopiero w drodze powrotnej. Rozmowa była bardzo wzruszająca, lecz krótka bo za chwilę transport odjeżdżał.

Matka osiedliła się w Ośniu Lubuskim, gdzie w roku 1946 wiosną po 6-letniej tułaczce nasza cała rodzina ponownie była w komplecie.

## Los matki

Ze szpitala w Lidzie wyruszyła ukrywając się u obcych ludzi. Rodzice Matki byli zesłani tym samym transportem, co my, gdyż Dziadek był leśniczym Lasów Państwowych Dziadek był też zesłany za cara w 1905 roku za udział w powstaniu. W 1941 roku po zajęciu naszych terenów przez Niemców Matka wraca na swoją posiadłość. W 1977 roku ciężko zachorowała i w tajemnicy dała mi małą zakorkowaną buteleczkę. Była tam mała kartka napisana na maszynie wydana przez dowództwo AK Treść dotyczyła jakichś odznaczeń, bo Matka należała do AK i pełniła bardzo ofiarną i niebezpieczną funkcję. O tym nawet nie opowiadała. Wiem tylko, że pewnego razu zaprzęgała konia do wozu i pod sianem wiozła dowództwo AK do Lidy. Miała pseudonim „Stryjenka”. Powiedziała mi, że gdy Polska będzie wolna, mam okazać ten dokument. W trakcie przeprowadzki do innego mieszkania buteleczka ta zaginęła mi.

Po wojnie pracowałem w gospodarstwie w Krzeszycach razem z Ojcem, który objął je w stanie bardzo zdewastowanym. Władza Ludowa nie przyjęła nas z otwartymi ramionami. Nie otrzymaliśmy żadnej pomocy z UNRR-y. Przywieźliśmy kilka skór lisich upolowanych w Rosji, sprzedaliśmy w Gorzowie i kupiliśmy kozę, którą zaczęliśmy gospodarzyć na Ziemiach Odzyskanych. W 1950 roku zostałem powołany do służby wojskowej w Górze Kalwarii koło Warszawy do 1-ej Brygady KBW. W czasie szkolenia zgłosiłem się do lekarza w związku z przebyłym wypadkiem na Syberii. Lekarz skierował mnie do Polikliniki Centralnej MBP w Warszawie na ul. Koszykowej, gdzie byli leczeni żołnierze danej jednostki. Było to moje pierwsze badanie powypadkowe. Wydano zaświadczenie o stanie zdrowie. Z wojska zostałem zwolniony.